

NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Ciąg drugi.

Utwory wydane w Warszawie.

Historia ludzkości wystawia ruch i postęp ludzkości, to jest wskazuje drogę jej, jaką przebiegła od chwili swojego narodzenia się aż do nas, z kąd znowu się pomknie ku niewiadomym szlakom przyszłości. Historia danego narodu przedstawić też powinna rozwój ciągły sił fizycznych i moralnych narodu od jego początku aż do końca.

Wszystko na świecie musiało z czegoś powstać, i dlatego powstać. Nauka ma objaśnić jedno i drugie ważne zadanie. Ale dlaczego naród dany żyje i jakie zajmuje pomiędzy spółbracią stanowisko w ludzkości, pokaże to dopiero historia jego, wzięta w całym przebiegu. Z czego naród powstał i kiedy? Są to już pytania niezawsze rozstrzygnięte dla nauki, a ważne same przez się. Monografie i systemata dziejowe zajmują się już narodem uorganizowanym, zastanawiają się nad różnemi okolicznościami jego życia, badają przeszłość ze źródeł napisanych już przez sam naród; ale krytyka dziejowa sili się objaśniać same zagadki. Żaden naród nie może oznaczyć kresu, w którym żyć zaczął, jako naród: bo okoliczności i wieki dopiero tworzą odrębne urywy, ni-

by rozczłonia jednej ludzkości. I nic dziwnego: kiedy rodzi się dziecko, rodzice skrzętnie zapisują dzień, miesiąc i rok jego przyjścia na świat; ale gdzież są rodzice narodu, którzyby dzień jego narodzenia się i metrykę zapisali? Nic się jednakże bez przyczyny nie dzieje, i dlatego krytyka dziejowa ma za cel główny znaleźć początek narodu, objaśnić przyczyny i wypadki w życiu ludzkości, które dany naród przywołały do życia. Ztąd ważność krytyki dziejowej, i większe jęj znaczenie w pewnym względzie od wszystkich innych prac historycznych. Spójrzmy w księgi, w systemata dziejów polskich, które nam napisali: L. w przerobieniu Wagi, albo w Polsce Średnich Wieków, Bandtkie, Maciejowski, a teraz Bielowski, że nie wspomnim innych pisarzy; każdy z nich prawie inaczej i odmiennie opowiada dzieje początków narodu polskiego. Jeden występuje z gminą, drugi z prawem rycerskiem; jeden widzi od niepamiętnych czasów rodzaj Rplitęj pomiędzy Słowianami lechickimi, drudzy widzą ciągle monarchią i pierwiastek samowładztwa w ręku królów, aż do czasów Bolesława Krzywoustego. Jeden mówi, że plemię słowiańskie *zniemczone*, *najechało* ziemię nadwiślańską z zachodu, i uorganizowało naród podbity po szlachecku; drudzy, że szlachta powstała u nas przez dobrowolne naśladowanie feudalnego rycerstwa, więc nie była narzuconą instytucją. Nawet wyrazy *lach* objaśniają rozmaicie: jedni w tém nazwisku widzą imię własne, drudzy imię pospolite oznaczające rycerza. Nawet o początkach wiary chrześcijańskiej w Polsce, opowiadają nasi badacze każdy inaczej. Jeden utrzymuje, żeśmy przyjęli wiarę z Rzymu za Mieczysława; drudzy, że przed Mieczysławem rozwijał się już u nas obrządek słowiański; inni jeszcze gotowi utrzymywać, że Bolesław Wielki panował nad połową najmniej bałwochwalców; a Bielowski już w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej wskazywał na ślady nauki Zbawiciela pomiędzy przodkami naszymi, siedzącymi nad Dunajem. Kiedy Słowianie pokazują się w Europie? Jedni mówią, że byli przed Chrystusem; drudzy, że nadeszli razem z Hunnami przy wielkiej wędrówce narodów; inni, że ich osiedlenia się nie może zapamiętać historia. Ile pytań, tyle rozmaitych rozwiązań. I zkadże przecież te sprzeczności?—Ztąd, że krytyka dziejowa domyśla się i buduje z napomknień, z oderwanych słów kronikarzy, którzy o czém inném wcale pisali, nie myśląc o tém, jaki z nich krytyka robić będzie użytek; ztąd słabość jęj wniosków, i często mylność dowodzeń. Mimo to wszy-

stko jednak, krytyka zajmuje się sprawiedliwie tém odgadywaniem. W początkach każdego narodu tkwi zawsze jego cała przyszłość. Jak w człowieku pojedynczym są wady i przymioty, które się potem rozwijają w namietności, w gieniusz i cnotę: tak i w zbiorowym człowieku, czyli narodzie. Trudno zaprzeczyć temu, żeby ludy nie miały nadanego sobie jakiegoś charakteru, jakiegoś posłannictwa. Ileto Niemcy zajęli słowiańskiej, rzymskiej, gallickiej, bretońskiej ziemi! Ztąd krytyka historyczna objaśnia nie tylko początki polityczne narodu, ale wszystkie naraz jego początki: zarody jego prawodawstwa, zarody jego umysłowych zdolności. Ogół tego wszystkiego, stanowi narodu cywilizacją.

Dlatego, chociaż wnioski krytyki dziejowej są tak bardzo rozmaite, że jeden często z drugim się nie klei: zawsze dlatego krytyka zaczyna historią, a inne dopiero prace dziejowe pokazują rozwinięcie się narodu. Będziemy więc mówili naprzód o krytyce w Warszawie. Nauka przedewszystkiém domysłów i wniosków, a nie faktów, przyniosła nam przecież w owocach swoich pewne fakta, które spłyną do ogólnej skarbnicy dziejów polskich.

a) ODDZIAŁ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

Maciejowski, Rychter, Szulc, Tyszyński i Lewestam.

Kiedy nam o badaczach pierwiastkowych dziejów Polski mówić przychodzi, przedewszystkiém i mimowolnie zwraca się uwaga na prace Wacława Alexandra Maciejowskiego. Rozgłośnego imienia po całej Słowiańszczyźnie, pisarz ten pomyślał i napisał już olbrzymie dzieła. Erudyta to ogromny nawet w Europie, a u nas w Warszawie bez wątpienia pierwszy. Dlatego nie rozszerzając się zbyt nad jego znaczeniem, wskażem tutaj na owoce prac Maciejowskiego, i ocenim wpływ na badania dziejowe autora *Historii Prawodawstw Słowiańskich*.

Maciejowski właściwie prawnik, zaczął pracować pierwiastkowo nad prawem polskiem; potem, kiedy się zakres jego przedmiotu rozwijał, zastanawiał się nad prawem wszystkich ludów słowiańskich. Cztery tomy wydane w tym przedmiocie, zwróciły na naszego autora oczy Europy; ale wskazały mu zaraz wszystkie niedostatki zamierzonego i zaczętego już dzieła. Żeby napisać dobrą historią prawodawstw słowiańskich, p. Maciejowski

widział potrzebę zająć się razem i dziejami plemion słowiańskich: musiał zastanawiać się nad ich początkiem, wzrostem, charakterem; musiał pisać dzieje kościoła, literatury, sięgać krytyką nawet w bałwochwalskie wieki, dopytywać się borów, i ziemi, i pieśni gminnych, w co przodkowie nasi wierzyli, co kochali, czém się zajmowali przed zapoznaniem się z nauką Chrystusa. Taki ogrom pracy mógłby zastraszyć niejednego; p. Maciejowski przecież mając ciągle oczy na jeden przedmiot zwrócone, po wydaniu *Historji Prawodawstw*, wypracowywał udzielne niby ustępy wielkiego dzieła, w których rozwijał swoje spostrzeżenia i dowodził tego, o czém tylko w *Historji Prawodawstw* napomknął. Tak wszystkie dzieła p. Maciejowskiego, któreśmy już mieli od lat kilkunastu, wspólne miały źródło z którego płynęły. Autor wydaje w obecnej chwili dzieje piśmiennictwa polskiego, i ubolewa, że czas mu już nie starczy opracować dzieje kościoła polskiego.

Autor spieszy się przedewszystkiem, bo chciałby zrobić jeszcze drugie wydanie *Historji Prawodawstw*, i żałuje, że tak długo bawił się nad pojedynczemi ustępami, odbiegłszy od głównego przedmiotu.

Chcąc więc wskazać pierwiastki prawa polskiego, p. Maciejowski zajął się badaniem pierwiastków samego narodu. Każde dzieło jego zawiera jakieś twierdzenia, których prawdy doszedł p. Maciejowski, i których tém samém dowodzić musiał. Prawd tych jest wiele; a że nasz obecny przegląd rzuca oko na niedawną przeszłość literacką i wskazuje na jój owoce: celniejsze twierdzenia p. Maciejowskiego tutaj przytoczym, nie bawiąc się długo nad drobnostkami.

P. Maciejowski objaśnia inaczej wyraz *lech*, *lach*, jak inni pisarze słowiańscy, a raczej bierze go w dwojakiém znaczeniu. Lech byłto rycerz, osadzony na lesze. Lechów znały wszystkie dawne plemiona słowiańskie, a zwłaszcza zachodnie. Ale ludy niemieckie w pierwszych wiekach po Chrystusie odparły ku wschodowi naszych praojców, same osiedliły się nad Elbą, a raczej od Elby na zachód, ku Renowi i starożytnéj Gallii. Ludy niemieckie przychodziły do nas z feudalnemi pojęciami, miały więc stany i główsszczyznę. Niemiecki naczelnik wędrownego tłumu zawsze ród swój od bogów wywodził, i uważał się za coś wyższego od innych ludzi, bo krew niebian płynęła w jego żyłach. Nierówność towarzyska była zasadą niemiecką. U nas i u Słowian powód, kiedy w sądzie dochodził winnego zabójstwa, wyszczególniał

w skardze, ile szkód rodzina zabitego przez jego śmierć poniosła, i o zapłatę należności dopominał się; przeciwnie u Niemców, powód nie miał potrzeby szacować głowy, kiedy samo prawo ją oszacowało: za zabójstwo najniższej klasy ludzi płacono się połowę mniej, jak za ludzi więcej uprzywilejowanych (frylingów), a za tych jeszcze o połowę mniej, jak za głowę prawdziwej szlachty, to jest panów wieszających się u domu książęcego (edelingów). Pan Maciejowski w starych kronikach niemieckich dostrzegł, że w okolicach nad Elbą występują wciąż jacyś Lazzi, Lassi i t. d., a zawsze na samym spodzie towarzystwa. Był to więc stan trzeci, upośledzony w prawodawstwie niemieckim. Lassi do tego przypominali słowiańskich *Lechów*; mogli więc być synami Słowian, którzy ulegli przemocy Niemców, i dlatego na ostatni stopień hierarchicznego porządku przez nich byli strąceni. Nie ma wątpliwości, że przed najściem Niemców, wielu lechów, czyli rycerzy słowiańskich ustąpiło na wschód do spółbraci, i że ci tylko zostali się w kraju zawojowanym, których albo nieprzyjaciół zabiegł gwałtownie, albo którzy dla wielu rozmaitych przeszkód i przyczyn, odeprzeć napaści lub cofnąć się zawczasu nie mogli. Ci lassi, czyli lesi, Lehowie, kilka wieków ulegając Niemcom, przyzwyczaili się do feudalnych pojęć swoich panów; ale coraz więcej przez nich uciskani, usuwali się powoli na wschód za dawnymi wychodźcami, starym dobrze utartym szlakiem. Nastąpił wreszcie czas, że Lachowie zawładnęli całą ziemią słowiańską, od brzegów Warty aż pod Karpaty i Dniestr. Na tej przestrzeni pozakładali księstwa, na tej przestrzeni uorganizowali stany niemieckie; ztąd powieść o dwudziestu stryjach panujących Popiela. Powieść ta wskazuje związki, jedność drobnych księstw słowiańskich, dawno-polskich, pod władzą lechickich panów. Kiedy Ziemowit obalił tron Popiela, to się znaczy, że ziemianie, tubylecy słowiańscy, niezarażeni jeszcze duchem niemieckim, i mający inne pojęcia o rządzie społecznym, obalili przywileje stanów czyli szlachtę.

Pan Maciejowski przyszedł do tego odkrycia, jako prawnik. Widział u Słowian dawnych rząd gminny, a więc równość wszystkich w zasadzie; widział, że pierwiastek stanów, instytucja szlachty, była napływową, i rozpoznał w niej zaród niemieckich wyobrażeń: objaśnił więc wędrownictwem Lechów znad Elby nowe zasady, jakie u Słowian polskich zaczęły wchodzić w życie już za czasów historycznych. To pewna przynajmniej, że gmina zaciera się cokolwiek pod panowaniem pierwszych Piastów, i że *opola*, instytucja czysto słowiańska, ustępuje nową już zasadzie

feudalnój, ale złagodzonój duchem słowiańskim. Pokazują się i u nas trzy stany i glówszczyzna, a dawniej ani jednego, ani drugiego nie było.

W innym ustępie pan Maciejowski objaśnia nam, że jeszcze dobrze przed Mieczysławem Iszym w wielu stronach późniejszej Polski, rozszerzała się znakomicie wiara chrześcijańska, i że Mieczysław przyszedł do gotowego, bo naród jego był już oddawna przysposobiony do uroczystego wyznania wiary Zbawiciela. Nie znaczyło to jednak, żeby już w Polsce po Mieczysławie wcale bałwochwalców nie było; owszem, i ucieczka Ryxy i czas bezrządu aż do powrotu Kazimierza Odnowiciela, dowodzą aż nadto jawnie, że dawne pogańskie jeszcze nawyknięcia nie tylko polityczne, ale i religijne, odżyły w całej sile wśród wiosek polskich, kiedy lud zabijał katolickich kapłanów i burzył kościoły. Taki wypadek jak przyjęcie wiary przez naród, nie jest wypadkiem natchnienia, nie wypływa z rozkazu księcia. Jestto chwila uroczystego przełomu dwóch czasów: skończyła się jedna epoka, zaczyna się druga; stare zasady konają, a nowe płyną w krew i w żyły na przyszłe życie. Przyjęcie wiary, to nie świetne, a choćby najświetniejsze zwycięstwo, od którego rachują się okresy życia narodu; to nie zawojowanie kraju jakiego, nie prosta zmiana konstytucyi. To naraz zmiana wszystkich pojęć, wszystkich przesądów, do których tak lgnie serce ludzi zostających w pierwiastkowym stanie swojego dzieciństwa. Przyjęcia wiary nie mógł więc nakazać Polakom Mieczysław, bo by go nie posłuchali, gdyby sami w znacznej części nie mieli do niej pociągu. Kiedy pod napływem wyobrażeń nowych, stare ustępują widocznie, to znak, że czas się zbliżył.

Pan Maciejowski też za pewnik wziął to, o czém inni zaledwie napomykali. Powtarzając słowa kronikarzy, p. Maciejowski powiedział, że Mieczysław uznał urzędowo wiarę chrześcijańską za wiarę swojego ludu, bo lud ten był już zasadami jej przejęty.

W istocie, przed Mieczysławem, przed Ziemowitem jeszcze, na Morawach zakwitło potężne państwo słowiańskie, które Świętopełk wyniósł do szczytu wielkości. W tém państwie przepowiadali wiarę chrześcijańską dwaj bracia, uczeni Grecy, rodem z Saloniki: Metody i Cyryll. Przełożyli oni pismo św. na język słowiański. Cyryll umarł prędko, ale Metody bywał w Rzymie i tam nawet się święcił na dostojność arcybiskupią. Byłto czas jeszcze, kiedy jedność wiary i dogmatów panowała w całym chrześcijań-

skim kościele, na Wschodzie i na Zachodzie. Papięż rzymski i patriarcha konstantynopoliński rozdzielili pomiędzy siebie cały świat wiernych, i spierali się tylko o granice swoich dyecezyj, ale nie o dogmata. Państwo Świętopelkowe obejmowało z późniejszej Polski, dzisiejsze sandomierskie i krakowskie doliny i góry, dotykając Karpat i Wisły. Niezawodnie więc w tym kawałku morawskiego państwa, rozszerzała się wiara Chrystusowa. Metody po słowiańsku przemawiał do swoich owieczek, bo przychodził z Carogrodu, a patriarcha nowego Rzymu pozwalał ludom nawróconym przepowiadać wiarę w ich rodzinnym języku, i nawet ten język zaprowadzał do nabożeństwa w kościele. Morawska dyecezyja leżała w granicach jurysdykcji patriarchy carogrodzkiego, i dlatego właśnie w Morawach rozszerzał się słowiański obrządek. Skarżono o to arcybiskupa przed papieżem, ale kiedy następca Piotra św. przywołał Metodego do Rzymu i przekonał się, że nauka świętego meża była czysto katolicką, uprawnili tym samym jego starania i prace, a niechętni zamilkli. Ztąd też chrześcianie morawscy modlili się po słowiańsku czas jakiś, aż póki nie pokazało się oddziaływanie w Czechach na stronę języka łacińskiego i obrządków rzymskich. Reakcyja ta jest już faktem znany, bo przypadała za czasów historycznych.

To od południa było w dawniej Polsce; ale od północy i zachodu niemniej także czynnie zabiegali Niemcy. Z tej strony od Magdeburga i Mersburga oczywiście przychodziło do Słowian nabożeństwo chrześcijańskie w szacie rzymskiej i przemawiało językiem łacińskim. Cesarze w Poznaniu stanowili stolicę biskupią jeszcze przed Mieczysławem.

Tak więc na ziemi dawno polskiej, granica dwóch dyecezyj przypadała: wschodniej i zachodniej. Na tej przestrzeni od Karpat ku dolnej Wiśle i Warcie, puszczali się kapłani słowiańscy; od Warty ku górnej Wiśle, niemieccy. A nie znaczy to wcale, żeby jedni uczyli czego innego, a drudzy czego innego. I ci i tamci uczyli jednych zasad, jednej moralności chrześcijańskiej, prawili o jednym kościele, tylko każdy innym językiem. Mieczysław dopiero jawnie oświadczył się za Rzymem i przerzucił się na stronę cywilizacji zachodniej. Ztąd ciążenie Polski wraże ku wschodowi.

Taki był pod tym względem systemat pana Maciejowskiego, i źle go rozumieli ci, którzy sądzili, że p. Maciejowski kazał Mieczysławowi zmieniać wiarę jedną na drugą, to jest zasady wiary. Tego nasz autor nie powiedział.

Ale najważniejszym owocem z badań p. Maciejowskiego jest niezawodnie upatrzony związek rozmaitych podań kronikarskich, które zdają się dowodzić: że Słowianie od niepamiętnych czasów na dzisiejszych swoich stanowiskach siedzieli. Wprawdzie nie pana Maciejowskiego to myśl, ale jego jest, przedstawienie faktów w nowém świetle. Wyjściem badaczów jest i będzie zawsze Scytya Herodotowa, i niejeden już autor silił się objaśnić te napót dzikie nazwiska Melanchlenów, Nurów, Budinów. P. Maciejowski widzi także w Scytyi Herodotowój Słowian, jak Słowian w podaniach Strabona i Pomponjusza Meli, i stanowczo się oświadcza za tém zdaniem, że *Boulanes* starożytni, to późniejsi *Polanie*, mieszkający nadgoplańskich i nadwartańskich równin. Jeżeli więc Słowianie mieszkali ciągle w naszych stronach, to nietrzeba się zrażać szczupłemi podaniami, jakie o nich zachowały nam piśmienne zabytki. Rzymianie kiedyś świat cały podbili: Gallami wojowali Bretonów, Germanami Partów, Kartagami ujarzmili afrykańskie ludy. Tak samo Słowianie czynni być mogli pod przewodem Hunnów, Gottów, Wandalów, i t. d. Te obce narodowości, napływowe były na ziemi naszej: ztąd jedna pomykała się w przepaść za drugą, i niknęły z kolei wszystkie. Nietrzeba wierzyć kronikom, powiada pan Maciejowski, kiedy zakreślają szeroko granice tych germańskich plemion. Niemcy tam byli u góry, ale Słowianie u spodu. Tak samo rzecz się dzieje i w Germanii Tacyty. Znakomity historyk rzymski pisał o rzeszy ludów, ale nie o jednym narodzie niemieckim, który się niby rozciągał od Renu aż do Wisły. W jego Germanii trzeba zważać na charakterystykę ludów pojedynczych, a nie zważać na słowa i nazwiska często niehistoryczne, często w ustach Rzymianina zmienione do niepoznania. Jak w podaniach kronik nie ma nic o Słowianach, a jednak niejedna do nich należy; tak w Germanii Tacyty niejeden lud, niejeden wypadek przytoczony jest słowiański. Pan Maciejowski szczególnież w tym wyrazie *Swewi* widzi Słowian. *Swewi*, powiada, to prawie *Slavi*.

Sąto wszystko główne wywody badań uczonego. Drobniejszych szczegółów, jak np. że postrzyżyny były obrzędem chrześcijańskim, nie pogańskim, że Dąbrówka była nie córką Bolesława czeskiego, ale siostrą, trudno tutaj choćby nawet w przelocie dotykać: tak ich wiele. Rozwijają one pierwszorzędne twierdzenia pana Maciejowskiego i spływają do jego systematu. Rys mitologii słowiańskiej, który dał nam autor w Pierwotnych dziejach, jest

zawsze szacownym ustępem, pomimo wszelkich zarzutów, jakie mu robić można. A kiedy jeszcze zwrócim myśl na nowe przedsięwzięcie pana Maciejowskiego, na jego chęć opowiedzenia nam dziejów wszystkich plemion polskich, każdego pojedynczo, nim się zlały razem w jedną całość, i państwo Bolesławowe złożyły, trudno nie podziwiać i zamiaru, i wielkich skutków, jakie ztąd mogą spłynąć na wyrozumienie nie tylko naszych dziejów pierwotnych, ale i całej zachodniej Słowiańszczyzny. Już autor rozpoczął tę pracę; na początek dał nam Roczniki i kroniki Polski przedlechickiej, a potem roczniki Lechów i Lechii. Z kolei ma dać nam dzieje czyli raczej kronikę Polski podlechickiej w przestworze lat 862—992, to jest przedstawi nam epokę pierwszych Piastów od Ziemowita aż po śmierć Mieczysława I. Dalej iść ma kronika Mazurów, ludu może najciekawszego pomiędzy plemionami polskimi, bo tajemniczego, osadzonego w ostępie na granicach Litwy; ludu, który w przedhistorycznych jeszcze czasach miał jakieś stosunki z Prusami, prowadził z nimi wojny i godził się, który aż do Jagiełłów zachował swoją niezawisłość i odrębność od reszty Polski fizyognomią. Po Mazurach ma iść kronika Wiślan, u których panował Wyszewit, postać historyczna, niedawno dla dziejów naszych zdobyta, książę potężny, którego chrzcili jeszcze Świętopełk. Mają iść za nim kroniki Chrobatów Czerwonych i Białych, w których znajdziemy historią Walgierza z Tyńca i Heligundy. Gdyby te kroniki spisał pan Maciejowski, jego pojęcia więcéjby się rozwidniły, i niejedno, co się dziś wydaje zagadkowym i niepewnym, w badaniach jego albo by znalazło poparcie, albo spadłoby w rząd nieprawd historycznych, powtarzanych na ślepo. W każdym razie, czy autor spisze te kroniki, jak obiecał, czy nie spisze, myśl już rzucona, interes dla badań takich rozbudzony: bo co chwila nowe na tém polu gromadzą się spostrzeżenia i uwagi, a niedaleka może przyszłość wyrzuci z naszych książek elementarnych rozdział dziejów bajecznych, żeby na ich miejsce prawdę historyczną postawić.

Nie ma wcale sporu o wypadek, który nam opisali naoczni świadkowie; ale inaczej się wcale rzecz ma z dziejami pierwotnymi. Tu trzeba wyrozumiewać błędne rozmaite podania kronik starych, a te kroniki nie były właśnie naocznymi świadkami tego, co opisują. Kronikarze pisali z nasłuchu, z opowieści tylko. Każde podanie przechodząc przez tysiące ust, zmienia się, podlega różnym tłumaczeniom, tak dalece, że niejednen potem zbieracz

tych podań, niby uczony, bo pisarz, szczegółów pofalszowanej prawdy nie umie rozróżnić i podaje baśni potomstwu, które nie wie jak sądzić o tém wszystkiém, co czyta. Tak Maciejowski za te szczęty pofalszowanej prawdy wziął nasze kroniki Galla, Mateusza Cholewy, Wincentego syna Kadłubka; tak je téż wziął nowy badacz pierwotnych dziejów naszych, Bielowski. Dobrze zrobili, że nie odrzucili tak odrazu rodzinnych podań: bo w nich, przekonani jesteśmy, zachowała się jeszcze i dla nas iskierka prawdy, która może pochodnią rozbliźnie. Dziwim się, jak mogli dawniejsi autorowie, Naruszewicz np. wziąć na karb przyzwyczajenia do kłeczeń, te wszystkie opisy o Leszkach i Popielach, starych naszych kronikarzów. Zmyśla tylko wierutny kłamca, ale nigdy historyk. Krytyka wskazała przecież na wysoką wartość pod pewnym względem, tych autorów, którzy nam zachowali podania praojców o związkach narodu polskiego. Ani Gallus, ani Mateusz, ani Wincenty, ani Boguśał nie zasłużyli na sąd niesprawiedliwy; mają oni nieraz i dobrą stronę, a czasem nawet i polot artystyczny, który wyższe daje wyobrażenie o ich zdolnościach i wyobrażeniach, jakie mieli o pisaniu historii. Jeżeli zatém podania ich o pierwiastkowych dziejach są mylne, nie możem tego w żaden sposób przypisać złej ich woli i chęci fałszowania historii, o co ich długo oskarżano, ale obwinmy raczej mętne źródło, z którego czerpali. Zarzucimy im mało doświadczenia, mało zdolności krytycznych, kiedy powtarzali lada co, kiedy czasy i wyobrażenia plątali; ale nigdy nie przyznamy, że psuli wątek dziejów umyślnie. Kłamca jest zawsze kłamcą, a cóż dopiero kłamca dziejowy? — pisze on paszkwil, nie historią. Wincenty, artysta w czwartej księdze kroniki, którą sam napisał, nie może być w żaden sposób bezsumiennym zmyślaczem w trzech pierwszych księgach, które przerażał z Mateusza. Więc cóż dziwnego, że mętne źródło czyszcząc, każdy z badaczy pierwiastkowych dziejów naszych, inaczej wyrozumiewa prawdę? Nie ma sporu o wypadek znajomy, ale trwa spór o dzieje pierwotne; pod tym względem muszą być systemata pewnych widzeń, musi być starcie się mniemań uczonych.

Maciejowski miał téż przeciwników swoich, którzy go rozbięrali, krytykowali, oceniali rozmaicie, ale najwięcej miał ich w Warszawie. Placem turniejów była długi czas Biblioteka Warszawska, a w części i Przegląd Naukowy. Umilkły już te spory i możem teraz o nich sądzić. Jeden z przeciwników Maciejowskiego odmówił mu zupełnie zasługi; drugi i trzeci przyznał

ją, ale każdy inaczej; a przecież trudno zaprzeczyć, że dzieła pana Maciejowskiego obudziły powszechny interes nie tylko u nas, ale i za granicą, pomiędzy Słowianami i pomiędzy Niemcami.

Pierwszym z kolei antagonistą Maciejowskiego był Ignacy Lojola Rychter, znakomity erudyta i filolog. Rychter starał się utrzymać przy niewzruszonej powadze podanie kronikarzy, że Polska dopiero za Mieczysława poznała światło religii chrześcijańskiej, i to z Zachodu. Ależ Maciejowski temu bynajmniej nie przeczył, że Mieczysław pierwszy stanął po stronie Rzymu, i tym samym rozciągnął granice papieżkiego władztwa więcéj na wschód, jak to było za czasów Kiryla i Metodego. Maciejowski tylko utrzymywał, że w późniejszej Polsce byli już przed Mieczysławem wyznawcy Chrystusa, katolicy zawsze, - tylko jedni modlili się w łacińskich kościołach, drudzy w świątyniach, w których śpiewano, powiedzielibyśmy po polsku, gdyby ślady były, że język nasz już wtedy odstrychnął się tak mocno od ogólnego pnia mowy słowiańskiej, że mógł już stanowić samoistne narzecze. Było modą powstawać czas jakiś za to na Maciejowskiego. Bielowski gniewał się razem z innemi na autora *Dziejów pierwotnych* za ten wniosek, a oto teraz niedawno w swoim *Wstępie krytycznym* utrzymuje toż samo, co Maciejowski, i szeroko rozpowiada o losach kościoła słowiańskiego w Polsce. Utrzymuje Bielowski, że kościół ten upadł dopiero w krwawych zapasach po śmierci Mieczysława Gnuśnego, po ustąpieniu Ryxy do Niemiec, a przed powrotem Kazimierza, to jest około połowy XIgo wieku. Co większa, autor *Polski Średnich Wieków* chociaż utrzymuje, że Mieczysław z poganina został wyznawcą rzymskim Chrystusowój wiary, w ostatnim tomie swojego dzieła, któreśmy wymienili, wskazuje na widoczne ślady obrzędu słowiańskiego u Wiślan, to jest na południe późniejszej Polski. Wszyscy walczyli, a wielu w końcu przyznało słuszność Maciejowskiemu. Na obrządku słowiańskim, Bielowski nawet wiele swoich hipotez zbudował.

Spory Maciejowskiego z Rychterem przybrały wręcz charakter zbyt namiętny; i nie dziwnego: nowemu bojownikowi przedewszystkiém chodziło o wywalczenie samoistności naszego plemienia, co zdaje się, żadnych dowodów nie potrzebowało, bo ta samoistność świeciła słońcem w przeszłości. Staczały się więc harce o wyrazy, ale nie o rzeczy. Byłto olbrzymi bój, w którym dyalektyka ciskała pioruny. Nie można było odmówić Rychterowi zdolności do tego rodzaju walki: byłto prawdziwie uczony

człowiek, ale mógł spierać się długo na zadany temat, bez wewnętrznego jednak przekonania. Zdaniem naszym, sam uroił sobie nieprzyjaciela. Rychter nie darował nawet Maciejowskiemu jego *Polski pod względem obyczajów* i t. d., i znowu w recenzji swojej tego dzieła widział to, czegośmy wcale nie widzieli. Krytykowi zdawało się, że to pismo jest stekiem obelg na naród i na całą jego przeszłość: wziął więc obronę akademii krakowskiej przeciw Maciejowskiemu. Nasz autor powiedział, że akademia bawiła się w scholastyczne spory, że odznaczyła się li tylko w matematyce i w astronomii, że zapomniała o swoim przeznaczeniu, a przyjęła pewne formy raz na zawsze, za które przestąpić niewolno jój było. Święta prawda. Rychter dowodził przeciwnie, że akademia położyła wiele zasługi na każdym polu naukowym, a Maciejowskiego zarzuty nazwał potwarzami. Któż się spiera o to, że akademia nie położyła zasługi? Jedno oko zawsze coś więcej widzi, a ślepy nic nie widzi; ale akademia jedno miała oko i nie umiała się rozwijać z postępem czasu i wyobrażeń. I cóż się stało?—Odepchnęła od siebie rady ludzi światłych, rządząc się swojemi zasadami. Biła na Jezuitów, a za Jezuitami kroczyła i naśladowała ich w nietolerancyi i w ubóstwie naukowym. I upadła tak nisko, tak nisko, że cała okrzyczana jój mądrość, stanęła niżej od mądrości collegium Konarskiego; a całe jój życie wpływało w dysputach o wiatr, o czci patronów, odzywało się na obchodach uroczystości i kanonizacyi świętych. Tak było nawet do r. 1778, tojest do środka panowania króla Poniatowskiego.

W czasie sporów Maciejowskiego z Rychterem, w obronie *Polski pod względem obyczajów* stanął Wojcicki przeciw napastnikowi, rycerzowi dyalektyki, tojest próżnej szermierki. Autora Klechdy, zbieracza pieśni ludu, męża, który tyle wpłynął na literaturę i czas co się rodzi, nie posądzi nikt zapewne o stronnictwo. Wojcicki stawał w obronie *Polski*, bo czuł to, że Rychter ma tylko rozumowanie za sobą, ale nie prawdę. Niedługie lata przeszły: przez ten czas Wiszniewski napisał nam dzieje literatury, Łukaszewicz Historję szkół, Muczkowski tyle broszur rzucił na świat literacki o akademii. Zajrzyjcie do tych autorów: wszędzie tam też same zarzuty robione akademii, które robił i Maciejowski, które robi każdy, co się z jój dziejami bliżej zapozna.

Rychter był człowiekiem wyższych niezawodnie zdolności, ale też nie umiał ciągle pracować. Ztąd pozostawił tylko kilka rozpraw oderwanych, które więcej są dowodem jego nacytania

się, jak wyczerpania przedmiotu. Między jego pracami nie było żadnego związku. Wziął się pod koniec krótkiego życia do pisanja dziejów akademii Zamojskiej; był u źródła, bo urzędnikiem w samej bibliotece ordynackiej. Mógłby przysłużyć się dziełom znakomitej wartości dla literatury, jednak ociężałość wzięła górę: zbierał, zbierał ciągle, nareszcie śmierć przyszła, i przerwały się piękne nadzieje, jakie o nim powzięto. Dziwne to może zbliżenie, ale powiedzieć potrzeba, że zmarły młody pracownik, i także rokujący nadzieje, Seweryn Sierpiński położył pod tym względem więcej zasługi od Rychtera; on, prawie samouczka, wziął pierwszeństwo przed professorem i zdolnym filologiem. Po Sierpińskim pozostała się rozprawka o akademii zamojskiej (drukowana podobno w *Jaskółce*); po Rychterze z ogromnych przygotowań, nie nie zostało.

Dlatego i zerwanie się uczonego krytyka, aby *veto* swoje położyć naprzeciw wnioskowi Maciejowskiego, jest przedź manifestacją, jak rozprawą o dawnych czasach i o pierwiastkach naszego plemienia. Dziwne pojęcie historii, kiedy w niej jeden fakt wołą Opatrzności wywołany, ma być sławą, a drugi niesławą narodu. Spory te najwięcej Rychterowi zrobili imienia w literaturze, bo teraz nazwisko jego ciągle płatać się będzie w rocznikach naszej krytyki historycznej. Ale owoce małe dla dziejów z jego badań. Recenzent własnej myśli nie otworzył w rzeczy tak ważnej, ani też myśli Maciejowskiego nie podał całkowicie.

Drugim z kolei przeciwnikiem Maciejowskiego był Dominik Szulc. Szulcowi szło o zaprzeczenie oryginalności dyplomatom tyńickim Bolesława W., które odkrył i dał nam poznać Maciejowski. Byłyto najdawniejsze dyplomata nasze.

Pan Szulc ma dosyć znane imię w naszej literaturze. Nie wiemy dlaczego, ale widzimy to, jak każde słowo jego, uczeni i nieuczeni ludzie, a najwięcej ci ostatni wysoko cenią, rozbierają, przywodzą. P. Szulc, to jakaś potęga umysłowa, która działa gdzieś niewidzialna, jakby Jowisz, poza krańcami literackiego świata. Nie widać skutków wielkich tej potężnej zdolności, która się mało przejawiała w literaturze; a przecież wpływ p. Szulca odzywa się nie dla jednego głosem sybillińskiej albo delfickiej wyroczni.

My nie przeczym zdolnościom, bo te ma p. Szulc rzeczywiście; ale nie sposób nie spostrzedz zarazem, że zasługa nie odpowiada jeszcze tym zdolnościom. P. Szulc prędko pomyśli i prędko wykonywa. Jestto także dyalektyk; jemu idzie tylko o przeko-

nanie swoich stronników, że widzi i pisze lepiej jak wszyscy. Zdolności w nim to robią, że jest coś w pracach jego oryginalnego i pięknego, bo zresztą ma p. Szulc bujną imaginacją i wiele poetycznego usposobienia, a to są rzeczy wcale niepotrzebne przy badaniach pierwotnych dziejów. Na fantazyą też widocznie pan Szulc choruje; fantazyja też tworzy przed jego oczami obrazy, które autorowi zdają się, że są historyczne, ale w nich często i cienia prawdy nie ma. Pan Szulc nie obejrzy wszechstronnie przedmiotu; i dziwił się po tém, że rzuca na świat podania swoje, w których kontruje bez zasady podaniom i wnioskom innych badaczy? Postaramy się zdanie nasze rozjaśnić.

Zapowiadano nam od bardzo dawna te znakomite zdolności, tę przyszlą sławę literatury krajowej. Jeszcześmy p. Szulca znali tylko po tłumaczeniu grammatyki łacińskiej Bredera, kiedy już nam rozpowiadano o nim cudowne rzeczy. Mówiono z kolei, że pisze: to dzieje literatury, to dzieje narodu. Obiecywano spełnienie najświetniejszych może nadziei.

O ile nam się zdaje, pierwszą pracę, którą nasz autor wyjął z bogatęj teki swojej historycznej i puścił na świat, była rozprawa o pieśni Bogarodzicy. Tę rozprawę autor czytał niegdyś na akcie uroczystym szkół w Lublinie, potem ją przerabiał i dorabiał, i w lat kilka ogłosił ją w Pamiętniku Moralnym. Mówiono, że Czesi mają krółodworski rękopism, że Ruś ma Nestora i Słowo o pulku Igorowym, i ubolewano nad tém, że Polska podobnych pomników swojego języka i literatury nie miała, i że reprezentantem jej dawnęj nauki są latopisy łacińskie. P. Szulc postanowił zaprzeczyć temu twierdzeniu; postanowił okazać, że i my mamy pomnik naszego języka równie szacowny, jak stary. Św. Wojciech był starszym niezawodnie od Nestora i od autora krółodworskiego rękopisu; szło więc o to, żeby dowieść, że pieśń Bogarodzicy jest pieśnią napisaną po polsku przez św. Wojciecha. Były wprawdzie o tém podania, którym wierzono aż do naszych czasów; ale p. Szulc chciał ocenić te podania, roztrząsnąć i postawić je tak, żeby świeciły rzeczywistą prawdą dla wszystkich. I trzeba mu oddać zupełną sprawiedliwość: rozprawa o pieśni Bogarodzicy jest znakomitą w swoim rodzaju. Autor dowiódł świetnie trudnego zadania.

Za tém p. Szulc rzucił się grzebać w przeszłości naszego Pomorza. Krew mu wzburzyła pretensya Niemców, że Kopernika naszego bezkarnie sobie przywłaszczali. Postanowił więc do-

wieść im, tym Niemcom, że całe Pomorze, jak nateraz, rozciągając się od Wisły aż do Niemna, było słowiańskiem, polskiem; i że, naturalny wniosek, kiedy tam panowali Niemcy, byli tylko przychodniami, którzy klócili spokojność naszych praojców. Jako pierwszą próbkę tej pracy dał p. Szulc rozprawę i także w Pamiętniku Religijnym: O Tarnowie mazowieckim. Tarnów był niczem innem tylko późniejszym Toruniem; był w XIII wieku małą wioseczką mazowiecką na pograniczu od Prus, należąca do dóbr stołowych biskupstwa płockiego i przez Gietkę biskupa nadaną Chrystyanowi i zakonowi braci Dobrzyńskich. Nazwisko jego *Thorn* jest późniejsze i już widocznie zniemczone przez Krzyżaków.

Niedługo potem zaczęły się drukować w Bibliotece Warszawskiej ważne badania Szulca *O znaczeniu Prus dawnych*. Zdawało się, że to początek prac olbrzymich, zdolnych aureolą najpiękniejszej sławy otoczyć imię badacza; byłato chwila prawdziwego tryumfu naszego autora:—trwała tak krótko!

W istocie, trzeba oddać sprawiedliwość p. Szulcowi; w jego dziele o Prusach jest nowy pogląd na rzeczy, jest uczucie, duch, styl ożywiony, język piękny: jest wszystko, co tylko potrzeba było autorowi, żeby umiał zająć chociaż suchemi badaniami, swoich czytelników. Pan Szulc zastanawia się naprzód nad rodowością Pomorza, dowodząc prawdy jasnój jak słońce, ale dla Niemców jednak niezrozumiałej, że pierwiastkowo na tej ziemi, o ile możemy sięgnąć w oddal wieków za pomocą piśmiennych naszych zabytków, mieszkali słowiańsko-polskie plemiona. Przechodząc do imienia ziemi, autor słusznie dowodzi, że nazwisko dalszego Pomorza, to jest sam wyraz *Prusy*, jest polskiem, chociaż jego rodowód dzisiaj dla nas zagubiony. Na pograniczu naszego Mazowsza, jak się dzisiaj kończy od Prus, dalej ku Bałtykowi, nie mieszkali zaraz Litwini, krewni tych, co się osadowili nad Wilią aż poza Dźwinę. Prusacy mieszkali więc na północ, w ostępie ściśniętym cokolwiek, i nie rozszerzali się tak daleko, jak niektórzy sądzą, żeby aż granic dzisiejszego Mazowsza osadami swymi sięgali. Szulc wskazuje następnie na rysy charakteru narodowego, dowodząc, że i na tém Pomorzu Słowianie mieszkali; a nawet dalej się zacieka. Jadźwingów, Jatwieżów, ród litewski, wygubiony w krwawych wojnach za Bolesława Wstydlwego, autor nasz ma za Polaków, czyli raczej za Słowian, i dlatego im nazwę Podlasian nadaje. Odkrył p. Szulc na Podlasiu wieś Daj-

nowo i dlatego całą krainę Jadźwingów jeszcze ziemią dajnowską nazywa, niby tam jeszcze wskazując na pochodzenie polskie mieszkającego w niej ludu.

Kończy znakomite to dzieło szczegółowy opis ziem składających Prusy wzięte w rozległym znaczeniu, jakie miały za Rplitej polskiej. Autor zaczyna ten pochód swój od Torunia i od ziemi chełmińskiej; następuje więc obraz historyczno-statystyczny, pięknie i śmiało pomysłany.

Byłato praca mozolna, ale sownicie opłaca jąca trudy. Autor wskazuje na ślady miast i ludzi słowiańskich na Pomorzu, wydobywa z kronik i z dyplomatów stare nazwiska, które brzmią czysto po polsku, już nawet za czasów rozpoczętej wojny przeciw narodowości ziemi. Zkądże te nazwiska się wzięły, jeżeli jeszcze nie były przed Niemcami? Niemcy kiedy zakładali nowe osady na Pomorzu, to je już chrzcili odrazu swojemi nazwiskami, a nawet stare siedziby nasze przekreślali tak, żeby je potem za niemieckie uznać można było. Jeżeli z przemianą jednej albo dwojga głosek udało się zniemczyć wyraz polski, robili z Tarnowa *Thorn*; jeżeli nie, całkiem wymyślali nowe, niebywale jeszcze imiona: tak z Kwidzyna powstało *Marienwerder*. Jeżeli więc dzisiaj po upływie kilku wieków napotykają się gdzie nazwiska polskie na Pomorzu, czyż te nazwiska przeciwko Niemcom nie świadczą?

Autor w każdej ziemi Prus starych przywodzi te nazwiska miejsc i nazwiska osób, które w tych ziemiach działały z nienawiścią dla Niemców. Ułożył więc i herbarz rodzin szlacheckich dawnego Pomorza.

Widoczna i tutaj wszędzie fantazyja naszego autora, a jednak rzecz o znaczeniu Prus dawnych, czyta się z pewną wiarą w moc jego rozumowań. I łatwo też było powyciągać p. Szulcowi ze starych zapleśniałych akt dowody rodowości tej ziemi. Walczyła ona długo z przemocą wyobrażeń niemieckich, aż wreszcie do braci wyciągnęła ręce. Długi opór zahartował ją w nienawiści plemienną; chociaż Niemcy Pomorzanom narzucali swoje prawa i swoje nazwiska, oni przecież rodzinne zachowali dla potomstwa, niby na oznakę dumy słowiańskiej. Polskie imiona odbiły się echem w tysiącach bitew pojedynczo i tłumnie z najeźdnymi hufcami staczanych, i musiały przejść témże echem aż do nas. Jak nie było znaleźć tych dowodów, kiedy się po ziemi wałęsały wszędzie; kiedy w każdym lasu tkwiły, w każdym pagórku, rzeczce, jeziorze, ustroniu; bo już Niemcy wyparli je z miast na

równiny. Trzeba się tylko było schylić po ziemi, a zasłyszalbyś na tej ziemi wszędzie pieśń słowiańską rodzinném uczuciem owianą. Trzeba tylko było wejść do chaty wieśniaczej, żeby w niej spotkać starą gościnność, a nie zdradę krzyżacką, nie przyjęcie niemieckie.

Cała w tém zasługa pana Szulca, że padł na myśl szczęśliwą jak Kolumb na odkrycie Ameryki, i że nam uroczy krajobraz przedstawił przed oczy. Ale praca ta wieleby zyskała na dokładności, gdyby autor nie nadrabiał fantazyą i domysłami, a starał się poznać osobiście ziemię, za której narodowość walczył. Niejedno nazwisko zachowane w dyplomatach zepsute do niepoznania, zachowało przecież słowiańskie brzmienie, tak, że prawdziwego dociec łatwo. Ale wiele, innego doznało losu. Pan Szulc potłumaczył te nazwiska na język polski jak mu się zdawało, nie bacząc na to, że ubliża majestatowi historii, kiedy domysł podaje za prawdę; a przecież odkryć się z czasem może niejedno błędne jego tłumaczenie: jakaż wtedy pokaże się zasługa pana Szulca, kiedy dojdziemy, że historycznemu miejscu przyswajał nazwę niehistoryczną? Tak Sambia, nazywa się u Szulca krainą ziembińską: dlaczego? Może ona w samej rzeczy była ziembińską, ale my tego nie wiemy. Lepiej więc w takim razie pozostać przy łacinnioném nazwisku. Tak grają w jego dziele rolę ziemie Barcińska, Gołędzińska, powiat Pogodziński i t. d. Nie dotykamy już miast i wiosek. Zkądże ta pewność? Jaroszewicz zaprzeczył jawnie wywodowi polskiemu Szulca o Jaćwieży i ziemi dajnowskiej. Zaprzeczenie to nie jest dla innego punktu widzenia rzeczy, i nastąpiło nie dla sporów dyalektycznych, bo Jaroszewicz zna dobrze Podlasie, ziemię dawnych Jadźwingów, którą pan Szulc opisywał z naslychu, a nie uwodził się nigdy fantazyą w śledzeniach dziejowych. Ztąd prace jego historyczne może nietylko zajmujące stylem i obrazowością, co Szulca, nierównie są od nich wyższe swoją wartością.

Olśniony blaskiem, jaki na niego rzuciły badania o znaczeniu Prus dawnych, autor nasz odbył jeszcze podróż na drugie Pomorze zaodrzańskie, aż ku Elbie, i morzu Niemieckiemu. Jeżeli w Prusach pomagała mu w zmudnych poszukiwaniach fantazyą, to tutaj na zaodrzańskiem Pomorzu wyłącznie już zapanowała. Nasze myśli o drugiem dzielku pana Szulca wyłożyliśmy już niedawno w Bibliotece Warszawskiej (miesiąc paździer., 1850). Autor naraził swoją wziętość historyczną i sławę literacką, kiedy się tak lekko wziął do pracy ważnej w pomysle, ale słabej w wyko-

naniu. Zdaje się, znać na niej widoczny pośpiech: brak wreszcie czasu należytego do rozwagi i porównania świadectw dziejowych. W Prusiech, na Pomorzu nadwiślańskim, Szulc co krok znajdował dowody, których szukał; — ale za Odrą? Ta ziemia, to drugie Pomorze, później wystąpiło na scenę politycznego życia w takiej sile jak Polska. Za Bolesława Krzywoustego dopiero ochrzcił je św. Otton z Bambergu. To się znaczy o trzy wieki później wkroczyła na zaodrzańskie Pomorze cywilizacja zachodniej Europy, która pomiędzy Słowian tamiecznych przyniosła księgi łacińskie i sztukę układania ksiąg i chęć spisywania zdarzeń rodzinnego kraju, która pomiędzy nich wprowadziła kapłanów i ludzi uczonych, zbierających ułamki dziejów pogańskich. Właściwie historia tego zaodrzańskiego Pomorza, powinna się zacząć dawniej od historii Polski, bo na tamtejsze ziemie bił częściej i silniej piorun Zachodu i przed Karolem, i po Karolu Wielkim.

Ale upor Słowian przy rodzinnych obrzędach, przy wierze praojców opóźnił tylko bieg cywilizacji, która świat europejski przebież miała, a zniszczył pamiątki. Ani tam walki były tak mordercze, ani tak częste jak w Prusach. Na Pomorzu nadwiślańskim; Krzyżacy wszystko orężem tępić musieli: osady, ludzi i język i wiarę; inaczej się wcale działo na Pomorzu zaodrzańskim. Historia nie zachowała nam pamiątek tamtejszych wojen w takiej ilości, jak tutaj, w bliższych nam okolicach. Plondrowali i tam wprowadzić Niemcy, miecz i ogień wnosząc pomiędzy siedziby mieszkańców; ale ich zawsze wyparto ze stratą. Byli tam Niemcy napływową i chwilową ludnością; ale tutaj panowali jak udzielni książęta i tępił narodowość. Ztąd większa zaciętość na Pomorzu nadwiślańskim. Jednego roku nie było tutaj bez wojny. Niemcy raz wraz wysyłali wyprawy: to na wschód, to na zachód, to na północ i południe. Dopiero co zawojowali jedną stronę, a już w kilka miesięcy nowe w niej powstanie musieli przytłumiać, i to jeszcze z boku zarywał ich jaki Świętopełk, Sambor albo Mestwin. Nareszcie i przénarodowienie się niemieckie zaodrzańskiego Pomorza, następowało bez walki, a skutkiem jedynie ważnych wypadków europejskich. Za Odrą, po ciężkich klęskach sami książęta słowiańscy przyjmowali z rąk Niemców wiarę i poddaństwo, zapisując się na herców świętego rzymskiego państwa. Wynarodowienie więc stało się po długim oporze, prawie dobrowolnie; rzekłbyś, że Słowianie zaodrzańscy skamieniali w rozpacz.